



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## W SOSNOWIE.

### I.

**L**as sosnowy wśród żywicy  
Jak w kadzidłach cały tonię;  
Czuć zgniliznę w nim przedwczesną  
I młodzieńczej wiosny wonię.

Tej żywicy bursztynowej  
Łzy się sączą starej kory,  
Z szczelin, ran tych, co zadały  
Jej pożogi i topory.

Przepalonym, życiodawczym  
Leśnym ran tych aromatem,  
Lubię dyszeć pełną piersią  
Wśród oparów ciepłych latem..

Serce moje poranione,  
Poranione jak te sosny;  
I ja także tchnę zgnilizną,  
Taką samą wonią wiosny.

### II.

Niezbadane, tajemnicze  
Dzieł widomych cuda Boże!  
W zadumaniu myśl się gmatwa  
I skroń chyli się w pokorze.

Te słowiki, co śpiewają —  
Te turkawki, co gruchocą:  
Po co one gniazda ścielą?  
Tak miłośnie się kłopotą?

Czyż trwać wiecznie będzie lato?  
A w nagrodę ptasiej pracy,  
Deszcz i burza, nie rozmiolaż  
Nadpowietrznych ich pałacy?

U stóp sosny, zakrzątane  
Mrówek snują się szeregi,  
Arcymistrze budownictwa:  
Czemże marne ich zabiegi?

Czyż nie jestem pan wszechwładny!  
Miljonowe to mrowisko,  
Jednym ruchem, czyż nie mogę  
Zburzyć, zmienić w cementarzystko?

Czyż go mroźnej zimy wichry  
Nie zawieją w śnieżnym pyle,  
I blask słońca nie urągnie  
Śpiącej pod nim lodu bryle?..

Wszystko żyje, kocha, pragnie,  
Ma i zbiera w ciągłym sporze.  
Lecz to wszystko, co się kończy,  
Czyż się nazwać życiem może?

Pracuj, próbuj, walcz i wytrwaj.  
Do zwycięstwa wolne pole!  
Przy tej bajce, nianki starej,  
Uśniesz cichym snem, pachole!..

### III.

Gdybym zeszedł do mrowiska,  
Gdybym w mrówkę się przemienił,  
Jabym mrówczą ich ślepotę  
Blaskiem wiedzy rozpromienił:

Opowiedziałbym o ludziach  
Jaki świat nasz mądry, gwarny;  
Tych na niebie słońc mirjadów  
Jaki system planetarny;

Jak wszechwładzą dróg żelaznych  
Kula ziemską w sieć ujęta;  
Jak móż głębie siłą pary  
Przebywają dziś okręta...

Ale mrówki w ciemność bite,  
Co się mrówkom zwykle zdarza,  
Ogłosiłyby mię pewno,  
Za fantastę albo łgarza;

Huczek na mnieby podjęto,  
Okrzyczano w państwie dzikiem;  
Możeby mię, kto wiel... nawet  
Obwołano buntownikiem.

Lepiej będę dla nich obcy.  
Dam im pokój z ludzkim światem!  
Niech zostaną w swem mrowisku,  
Także z swoim systematem.

Niezbadane, tajemnicze  
Dzieł widocznych cuda Boże!  
W zadumaniu myśl się gmatwa...  
I skroń chyli się w pokorze.

Adam Mielezko.



# Promyk szczęścia.

URYWEK Z ŻYCIA,

skreślił

JAN KENAJ.

(Dalszy ciąg.)

— Ah widzi pani, co za gra kolorów!...—zawołał Zygmunt.

— Aha — odparła Janka, myśląc widocznie o czem innym.

— Proszę pana... zaczęła po chwili czy... czy ten... Fragment...—wyjąkała nareszcie, zacierwioną po uszki — czy to jest osobne dzieło — czy też... bo Tygodnik to tak właśnie rozpatruje i znajduje tyle niekosekwencji... a...—A ja znowuż myślę...

— A pani? — przerwał Zygmunt, któremu serce zabiło żywiej.

— Ja myślę, że on nie ma racji—odparła Janka odważnie i śmieiej zwróciła na niego swe wielkie—błyszczące oczy, które były teraz zupełnie ciemne. Bo .. bo... prawda proszę pana, że Fragment to jest, przecie tylko Fragment — jak tutaj naprzykład—większego dzieła, które artysta zamyślił...

Lecz tu chwyciły ją znowuż obawa i nieśmiałość Patrzyła na niego zaciekawiona i zakłopotana razem, a on tak zdumiał, że nie mógł słowa wymówić. Nie wierzył własnym uszom...

— Tygodnik się nie zna,—wtrąciła niedbale matka Janki—naprzykład nie mówi o tem dzieciaczku, który tam jest taki miluchny... ah zupełnie jak ten nasz Michaś...

— Mnie się zdaje, że tam ważniejszym jest ten chłop, który się modli — z taką boleścią — z taką ufnością i wiarą, że zdawało mi się, jakbym duszę jego widziała odtworzoną w żywym człowieku!—powiedziała prędko Janka i zmięszała się swoją żywością i odwagą, bo zdawało jej się, że się nie wyraziła jak chciała i że to może nie wypadało się tak wyrywać.

— Ah pani! — zawołał gorączkowo Marzejski, którego nagle porwała jakaś egzaltacja — czyżby pani przypuszczała że to będzie... że to jest... Ah pani!—boję się mówić tego, co chcę! Pani pierwsza mi mówi coś podobnego!—Nigdy jeszcze takiego zdania nie słyszałam!... Pani chyba umie przenikać myśli!... Doprawdy!... — Pani nie wie jak mnie to obchodzi!... To jest—bo ja wiem!—może pani i wie, bo pani ma jakiś przedziwny wzrok!

Ona nie spodziewając się takiego wybuchu, patrzyła nieledwie z przerażeniem na jego rozplamioną twarz, ale czując, że jego błyszczące oczy dziwny wpływ na nią wywierają, zaczęła mówić prędko aby pokryć zmięszanie.

— Panu się tak zdaje, bo pan nie wie, co o panu mówią w Warszawie...

— Ah wiem!—wiem!—chwała technikę,—koloryt, rysunek, układ —pomysły nawet!—ale nie to co pani i nie...

— A mnie się to wydawało takie proste...

— Że to jest Fragment większego dzieła?!—Ależ pani trafiła w moje najskrytsze myśli, najśmielsze marzenia!... I to nawet nie jeszcze, ale jak pani rozumiała tego chłopca!

— Myślałam, że na większym obrazie będzie ich więcej—cały naród—i dlatego mówiłam, że on jest najważniejszy...

— Właśnie!—właśnie!—wołał w uniesieniu artysta — pani rozumiała to, czego jeszcze nikt nie rozumiał!—pani rozumiała nie obraz—ale mnie!

Pani nie ma wyobrażenia, jak ja do tego tęskniłem, pani...

Tu spostrzegł, że Janka ma coraz bardziej zmięszaną minę, oraz, że on w zapale wypowiada rzeczy, mogące mieć większe znaczenie, niż proste wykrzykniki.

— Ah przepraszam panie najmocniej! — zawołał prędko; ale gdy Janka chętnie wyciągnęła dłoń do

zgody, ucałował tę małą rączkę z zapalem. Lecz w tej chwili spostrzegł, że popełnia drugą niestosowność, więc złapał się za głowę i zawołał z desperacją.

— Aa!—dalibóg że nie wiem już jak za to przeprosić!

— No, to już niech pan nie przeprosza—odparła matka Janki ze śmiechem—my i tak przebaczymy!

— Aa! to kamień spadł mi z serca! Czy... i pani mi przebacza?—spytał patrząc na Jankę z niezwykłym ogniem i jakąś nagłą tkliwością.

A ona odpowiedziała z uśmiechem, w którym była odrobina kokieteryi:

— I ja...

I była wtedy tak śliczna, że Marzejski uczuł ochotę porwać ją w ramiona.

— Dziękuję pani, — rzekł ciszej, patrząc na nią przejmująco.

Ją coraz bardziej onieśmiała ten artysta, w którego ciemnych pięknych oczach czytała uwielbienie dla niej i szlachetny zapal do wszystkiego co piękne. Nie wiedziała co mówić, zarumieniona i zmięszana, więc spytała nagle, odwracając się do matki:

— Czy to daleko jeszcze do Skierniewic?

— Do Skierniewic?

— A bo... chciałam wiedzieć...

— Co pani chciała wiedzieć?—zapytał Zygmunt obserwując z uśmiechem jej zakłopotanie.

— Chciałam wiedzieć, czy daleko jeszcze do Skierniewic—odrzekła z nadąsaną miną.

— I nie więcej?

— Nie. No, pani daleko?

— Oo! bardzo daleko!

— Ile tak?

— A ze dwie minuty drogi...

— Ee, z panami to nigdy dogadać się nie można...

— Moja Janko, to jest podejrzane; co ty tam masz w tych Skierniewicach?

— Oh! nie powiem, nie powiem...

— Sekret?

— Sekret.

— No to widzi pani, już zajeżdżamy na peron...

— Więc co?

— Więc nie wyjrzy pani oknem?

— Po co?

— Jakto? i nie zobaczy pani?...

— Czego?

— Może kogo? Albo ja wiem!

— E, panowie to zaraz... zreszta...

— Zreszta? Przecież pani tu nie wysiada!

— A zkad pan wie?—spytała Janka żywo i wrażliwa rozbawiona jej twarzyczka nagle posmutniała.

— Uważałem, że mama pani zdziwiła się na wspomnienie o Skierniewicach, więc przypuszczałem... Pani daleko jadą?

Na twarzy Janki odbił się przymus.

— My... —zaczęła.

— Najprzód do Drezna... — przerwała matka zmienionym głosem,—a potem...

Reszta słów ugrzęzła jej w gardle. Sięgnęła do kieszeni po chustkę i utarła nos hałaśliwie.

Janka otuliła się szalem i patrzyła w okno.

Pociąg stanął i nagle zrobiło się zupełnie cicho.

Zygmunt przynosił rozwarte ze zdumienia oczy z jednej kobiety na drugą i nagle ten przeskok od wesołej rozmowy i hałasu jazdy do absolutnej ciszy wydał mu się tak nadzwyczajnym, że strach go zdjął w pierwszej chwili i nie mógł sobie zupełnie zdać sprawy co tu się stało. Pamiętał tylko, że to zdaje się on coś zawinił, więc gorąco zaczęło mu napływać do głowy i szeptał sobie w duchu: do dyabła! do dyabła!.. Chciał poruszyć się w zakłopotaniu, ale wnet zauważył, że w tej ciszy wszystko rozlega się jak w pustym pudełku i to go jeszcze bardziej zmięszało! Siedział więc już cicho, tylko przeklinał siebie w duchu, że się tak wyrwał z czemś jak Filip z konopi...

Lecz nagle przypomniał sobie, że przecież on właściwie nie tak złego nie powiedział—cóż? spytał tylko przecież, dokąd one jadą. I na to jedna z nich obraziła się, czy coś, na niego, a druga jakby rozplakała się... Co u licha! oczywista rzecz, że on temu nie winien! Poprostu przypomniał im coś... ba! ale co? Tyle rodzajów nieszczęść jest na świecie!.. I opadło go tysiące przypuszczeń,—bujna jego wyobraźnia nasuwała mu najfantastyczniejsze kombinacje, ale żadna go nie zadawalała.

Jednego tylko domyślał się, że chodziło tu chyba głównie o Jankę... I na tę myśl ogarnęło go ogromne współczucie dla tej czarującej osobki—takiej ślicznej—czującej...

Stanęła mu ona w myśli jak żywa, z rozrzuceniami złotymi włoskami, które zdawały się unosić nad jej główką w lekkich wijących się splotach—z rumieńcami na drobnej ruchliwej twarzyczce, z której wyglądały błyszczące morskie oczy i czemś tak pociągającym w całej postaci, czego zupełnie nie mógł określić. Przypomniał sobie jej przywitanie—zachwył nad Fragmentem—przypomniał sobie, że ona go jedna rozumiała —i serce zaczęło mu bić żywiej—nadzieja czegoś nieokreślonego napełniła całą jego istotę. I gdy spojrzawszy na nią przelotnie zobaczył ją odwróconą do okna — smutnie zamysloną—poczuł, że dałby bardzo wiele, by od niej ten smutek odegnąć.

Lecz jednocześnie uczuł, że jest mu bardzo niewygodnie. Siedział ciągle w jednej pozycji—lekkopochylony oparł się jedną ręką o siedzenie, drugą trzymał na kolanie—więc kark zaczął go boleć, ręka mu zdrętwiała i zaczęło go to wszystko irytować—ita martwa cisza w okolo, iczyjś głośne chrapanie w sąsiednim przedziale i to że on się nie mógł poruszyć—bo za nic w świecie by nie zwrócił na siebie uwagi tych dwóch kobiet, zatopionych w smutnem rozmyślaniu, nie przerwał by tej ciszy, która go denerwowała cöprawda coraz bardziej.

I doznał uczucia ogromnej ulgi gdy rozległo się dzwonienie, potem dwie gwizdanki — gdy potem pod podłogą się coś poruszyło, mruknięto — stuknęło — wagon wstrząsnął się kilka razy gwałtownie—potem zaczęło się, tam coś przesuwać z głuchym łoskotem i brzękaniem i dźwięczało coraz głośniej—coraz szybciej, aż wreszcie pociąg się rozpędził zupełnie — i wszystkie rzeczy w wagonie zaczęły lekko skrzypieć i dźwięczeć w takt głuchych uderzeń jazdy.

Zygmunt odetchnął głęboko i zaczął rozcierać zdrętwiałą rękę, namyślając się, co ma dalej robić ze sobą, gdy nagle Janka przerwała milczenie.

— Panie Marzejski... prawda—zaczęła mówić szybko, nerwowym ruchem ściągając szal—prawda, że jak taka cisza, to zupełnie ochota odpada od rozmowy—prawda?... Jest w tem coś uroczystego... mimowoli człowiek milknie, chcąc się dostroić do otoczenia... prawda?...

— Rzeczywiście,—bąknął zdziwiony.

— Ja bo pasyami lubię taką ciszę—i taka zła byłam, jak pociąg ruszył... Pan pewno lubi także?

— Ja?... tak...—to jest nie bardzo... przeciwnie, ogromnie lubię hałas, zamieszanie—wesołość...

Janka zaczęła się śmiać.

— Aha! to już taka artystyczna natura! Rozumie się! mogłam się spodziewać!

Nagle urwała i rzekła już innym głosem:

— A jednak pańskie obrazy nie pokazują wesołości... taka w nich melancholja—tęsknota...

A gdy on milczał, coraz bardziej zdziwiony, do dała jeszcze utkwivszy w niego swe wielkie zamysłone oczy:

— Tak... pan w gruncie nie jest chyba wesoły...

— No cóż, z jednego albo i z kilku obrazów nie można jeszcze sądzić, — wtrąciła jej matka, którą rozmowa także wywiódła z zamyslenia.

— Kiedy teraz wszystkie obrazy pana są takie smutne... już od jakich dwóch lat... nawet kraj-obrazy... ach pamiętam naprzykład...

Nagle zaczęła się śmiać, tym razem zupełnie szczerze:

— Doprawdy, to komiczne! mówimy tu o panu jak o nieobecny, a pan...

— A ja słucham tego z najwyższą radością! — przerwał Marzejski porywczo.

Janka zmieszana się.

— Ee...—mówiła spuszczać główkę i bawiąc się w zakłopotaniu łańcuszkiem od zegarka—co tam pana może obchodzić bajanie kogoś spotkanego —tak—w drodze...

— Ależ ręczę pani... — zaczął znów prędko i urwał, bo czuł żeby znowuż powiedział za dużo. Janka spojrzła na niego przelotnie, a on zauważył już po raz drugi, że ma jakiś nadzwyczajny wdzięk.. Jednocześnie czuł się wzruszonym jej serdecznym głosem i podnieconym nadzieją czegoś nieokreślonego—czuł, że dziwna Janka mu jeszcze nie wszystko powiedziała.



Więc po chwili milczenia zaczął znowu prędko:

— Pani mówiła... pani zdaje się wspomniała, że krajobrazy... pani przypomniała sobie, że jeden z nich...

— Aa... tak... ale...

— Niech pani powie... jaki to krajobraz?

— Eel to tylko tak... wie pan... ten górski... ten z taką daleką perspektywą... co to widać tylko kilka górskich wierzchołków, wynurzających się z chmur... i wszystkie one takie poszarpane — dzikie — posępne — śniegiem kryte... Nad niemi przeczysty błękit, skąpany w słońcu, — wśród chmur okienko z widokiem na zielone doliny, — a na najwyższym szczycie stoi człowiek oparty o zrąb skały i patrzy gdzieś w dal wzrokiem takim... smutnym — takim...

Tu urwała, bo zapał jej powstrzymała jakaś nagła nieśmiałość.

— Czemu pani nie kończy?

— A bo... — odrzekła zarumieniona, — bo mi się zdaje, że pan się ze mnie będzie śmiał...

— Ależ pani!

— Kiedy pan nie wie... widzi pan ja czasami myślę sobie takie rzeczy — i opowiadam mamie, a mama...

— Ee, bo też ty czasem takie bajki opowiadasz! — wtrąciła matka. — Nie ma pan pojęcia jak ta dziewczyna lubi malarstwo! Był czas, że codzień chodziła na wystawę, a jak był jaki pana obraz...

— Mamol!

— Powiadam panu — stała by tak przed nim godzinami... a potem...

— Ee mamol moja mamol — zawołała Janka i przytuliła się do niej jak dziecko, — niechże mama już nie mów!

— No i widzi pan co to za pieszczocho... a nie pieścić się, nie pieścić się! — gromiła ją i zaczęła ją uderzać po plecach z siłą, któraby i muchy nie zabiła. — Ale to już późno — trzeba iść spać.

— Spać? — spytała Janka zdziwiona — to przecie jeszcze wczesnie...

— Ładnie wczesnie! Spać, spać, nie pieścić się. Mój panie, która godzina!

— Godzina? zaraz... w tej chwili... godzina jest dopiero dziewiąta... trochę po dziewiątej — jeszcze wczesnie...

— Dziewiąta! Jankol! Bój się Boga, już dziewiąta...

Ale Janka zaczęła się śmiać.

— Przecież ja codzień kładę się o jedenastej!

— Ale nie w podróży — strzęsiesz się, zmęczysz się... nie idź spać, idź, bo...

— Bo co? — spytała Janka zbladła.

— Idź spać, idź! — rzekła prędko matka, — nie marudź — no — co to córka takie miny wyprawia?

— Nie mamol, — nie mi nie będzie. Ja jeszcze posiedzę, — odparła Janka twardo.

— Jak sobie chcesz zresztą — to przecie mała rzecz — ja się tam już kładę... Aaa... — ziewnęła — okropnie mi się spać chce. Ale niech no się córka ztąd usunie — siadź sobie tam — jak będziesz chciała się położyć, to obudź mnie — już wtedy sobie jakoś poradzimy. Aaa... dobranoc państwu.

I wyciągnęła się jak długa, a Janka siadła obok Marzejskiego i wtuliła się w kąt.

Nastała cisza. Tylko pociąg huczał głucho pod spodem, trzęsąc wszystkimi przedmiotami w wagonie.

Marzejskiego ogarnął nieokreślony niepokój. W tych nagłych milknięciach, bladeści, w tym sztucznym, nerwowym nastroju czuł jakiś dramat — tem straszniejszy, że widział jak jedna przed drugą bała się wspominać o nim... I nagle przypomniało mu się, jak jej matka groziła zmęczeniem...

Krew napłynęła mu do głowy i ciarki przeszły mu po całym ciele...

Lecz Janka spytała znów, idąc za biegiem własnych myśli:

— A pan dokąd jedzie?

— Ja? właściwie do Rzymu — na studia... ale jeszcze przedtem chciałem odwiedzić moich znajomych drezdeńskich.

— Znajomych? to pan ma w Dreźnie znajomych?

— Mam... — odparł z uśmiechem Zygmunt. — Rafaela — Tyceyana — Madonnę Rafaela... dawno jej nie widziałem. Pani widziała?

— Nie... teraz właśnie pierwszy raz... chciałam ją jeszcze zobaczyć...

Przez twarz jej przeszły nerwowe drgania. Nie mogła dokończyć. Marzejski patrzył na to z niepokojem.

— Więc pan jeszcze na studia? — spytała znowu Janka.

— Tak pani... niestety jeszcze na studia... jeszcze nie koniec przygotowań...

— Przecież wszyscy unoszą się nad pańską techniką...

— Ale ja jeszcze nie. Ja co prawda jestem tak cierpliwy jak wół — nie uwierzy pani co to mnie kosztuje... co to kosztuje czekać, czekać i studyować, nim się tworzyć będzie coś z głębi ducha...

— Jakto? a przecież Fragment... — zaczęła Janka i zaczerwieniła się.

— Fragment, — odparł z uśmiechem Zygmunt, — był właściwie mówiąc już nadużyciem... Nie powinienem być jeszcze go robić... oddawać tylko cząstki z jednej myśli, którą się pielęgnuje jak skarb w głowie i sercu... Ludzie powinni widzieć tylko dzieła dojrzałe. Inaczej wpływ autora jest tylko szkodliwym...

— Ach panie! jakżeż można być dla siebie tak okrutnym!

— Pani droga! taki wykrzyk dowodzi, jak pani czuje głęboko! — Jak pani rozumie, co się dzieje w sercu nieszczęśliwych, którzy nie czują w sobie jeszcze środków na odtworzenie myśli, rozsadzających im głowę, — nie dających spać — przepełniających serce, przesładujących ich na każdym kroku — myśli, które pokazują im nędzę ich moralną — nicosć ich ducha, marność ludzkich środków do wyrażenia... Farby! — Farby! — Doprawdy śmiać mi się chce! — z motyką na słońce!... Ah pani! Czy który mistrz wyraził to co chciał?! — Czy czuł zadowolenie wewnętrzne ze swego dzieła?! — Nigdy! — Innym tylko — innym, którzy mniej czują od niego, daje on rozkosz — sobie — tylko mękę! — Zadużo widzi on w tem swojej pracy — mękę, — niepewności... — Ale co ja, mówię! Istnieje chwila, dla której artysty — wszystkich wieków poświęcali wszystkie inne rozkosze, cierpieli nędzę i głód, walczyli z ludzką pogardą, śmiechem i głupotą, aby tylko czuć to, co się czuje w tej świętej chwili... Ta chwila — to samo tworzenie... Ah dla niej zniósłbym nie tyle tylko com przeszedł... i nie tyle co mnie czeka jeszcze. Lecz potem — przychodzi rozpacz — zniechęcenie... — Ah, co też ja mówię! — nie tylko ta jedna chwila! — o nie! — jest i inna później — znacznie później — gdy tłumy oblegną obraz i powtarzają ze czcią imię uwielbiane... — i inna jeszcze — gdy...

— Gdy te tłumy idą tam, gdzieś im drogę wskazali! — zawołała Janka z błyszczącymi oczyma.

— Ah pani droga! — zawołał Zygmunt w uniesieniu chwytając jej rękę i okrywając pocałunkami — zkaż pani tak wie, co się dzieje w sercach ludzkich!... — Wierzę teraz! — wierzę, że szczęścia szukanego się nie znajduje — ono samo przychodzi! — na chybił trafił nawiedza ludzi...

Janka siedziała zmieszana, ale i jej radość występowała rumieńcami na twarzy i czuła, że jej jest z tym artystą tak dobrze, jak nigdy w życiu... Spozstrzegła że siedzą blisko obok siebie i to zmieszano ją jeszcze bardziej. Serce zaczęło jej bić niespokojnie, a zarazem błogo i rozkosznie...

A i jemu serce biło i jemu radość i nadzieja rozsadały piersi. Przypomniał sobie górski krajobraz... Jeżeli ona powie co tam było... Wzruszenie zaparło mu oddech.

— Pani zaczęła mówić... pamięta pani... zaczęła pani opisywać... ten krajobraz... niech pani... dokończy...

— Ten górski krajobraz...

— Tak, tak...

— Kiedy... ten krajobraz... ja już prawie wszystko...

— Czy pani jeszcze przypuszcza, że będę się śmiał?

— Nie, nie!... ale... — zaczerwieniła się i spuściła głowę.

— No to niech pani powie... tylko... tytuł, jaki by pani dała temu obrazowi.

— Ja?... tytuł...

— Nie wie pani?...

— Ale owszem, wiem! — tylko... widzi pan... ja bym mu dała tytuł... — dałabym mu dwa tytuły...

— Dwa?...

— Dwa... Jeden... samotność... — a drugi...

Marzejski wstrzymał oddech.

— Tęsknota — dokończyła Janka.

Marzejski zaniemówił ze wzruszenia.

— Pani droga! — rzekł wreszcie — a czy pani wie do czego ten człowiek — tęsknił? na tym szczycie — czy pani wie?...

— Ja?... nie... — ja...

— Ah pani! — on tęsknił do kogoś takiego, kto by go zrozumiał. — I dlatego on był taki nieszczęśliwy... nieszczęśliwy, choć go nie spotkało żadne nieszczęście... choć miał sławę i pieniądze — choć miał ludzi, którzy go kochali — uwielbiali... — On był nieszczęśliwy, bo nie miał kogoś, kto by go słuchał tak serdecznie jak... kto by go i słuchał i rozumiał... i podzielał jego myśli... Pani... on teraz już nie jest nieszczęśliwy! prawda? — zapytał prawie szeptem i ujął delikatnie jej rączkę...

Nagle stało się coś dziwnego. Janka wyrwała mu rękę, pociągnęła nią po czole, wstała, znowu siadła, potem jakimś dziwnym wzrokiem spojrzęła na niego błada jak płótno — i nagle rozplakała się, zakrywając twarz rączkami.

— Co pani jest! — zawołał Zygmunt.

Ale ona ciągle płakała... A matka, która nie była jeszcze zupełnie zasnęła, wstała, objęła ją zlekka i zaczęła całować jej złotą główkę i tulić sobie na piersi.

Marzejskiemu męciło się w głowie. Zupełnie nie wiedział, co się dalej stało. Nie pamiętał jakim sposobem dostał się na improwizowane łóżko w górze — na podniesione oparcie aksamitne — czuł tylko teraz gdy leżał tam w stanie półświadomości sennej, że stało mu się jakieś nieszczęście — ale nie mógł sobie przypomnieć jakie — i nawet gdy stanęła mu przed oczami duszy jej złota główka, — nie rozumiał nie jeszcze. Tylko naraz — nie wiedzieć skąd — zadźwięczał mu w uszach głos jej matki: strzęsiesz się, zmęczysz się... i zdało mu się że już wszystko rozumie... przypomniał sobie swoje poprzednie przypuszczenia, które mu przerwała Janka zapytaniem: a dokąd pan jedzie? — i ogarnęła go ciche przerażenie... — uczuł się bardzo nieszczęśliwym — i bał się o tem myśleć... A gdy próbował się przełamać, myśli nie chciały go słuchać — pierzchały, męciły się — uczuł w głowie chaos — w sercu pustkę... — i żał za czemś, czego nie było jeszcze, ale przecież bardzo być mogło... — Ogarniała go coraz większa apatia — zniechęcenie...

Lecz w tem usłyszał, że pod spodem trwa jakaś przytłumiona rozmowa, przerywana cichym płaczem... — To Janka płakała... Janka... a matka jej coś perswadowała...

I zdało mu się nagle, że każde szlochanie tej biednej Janki wżera mu się w serce, jak jakiś bolesny wyrzut i budzi w nim nieznane a upragnione drgnienia — zobaczył jasno jak na dłoni że skrzywdził bezrozmumnymi podejrzeniami to uroczę i nieszczęśliwe stworzenie i przestraszył się swojej zbrodni. Ujrzał ją jak na jawie — przejrzał się w jej cudnych jak morskie tonie oczach — i dostrzegł w nich tylko najczystsze błyski — ogarnął pokornem i wielbiącem wejrzeniem jej drobną wrażliwą twarzyczkę — jej cudne ruchliwe usteczka i ujrzał w nich tylko drgania zachwyty nad tem co piękne i wzniosłe. I przy tem drgania te wydały mu się tak pełne wdzięku, tak śliczne i pełne prostoty, że dziwił się, jak on — malarz — dotychczas ich nie zauważał.

Więc wszystko poczęło mu się teraz wydawać w innym świetle. Była wrażliwa — więc była nerwowa, a że się teraz rozplakała, to może być tego właśnie w jej wrażliwości przyczyna. — I na tę myśl serce poczęło mu bić tak silnie, że mu oddech tahomało.

Począł sobie wyobrażać, coby to było, gdyby on przyszedł tak do niej, klęknął u jej stóp i spytał dlaczego ona mu nie odpowiedziała — dlaczego z płaczem mu rękę wyrwała? — I zobaczył jak na jawie, jak ta cudna złota główka wzruszona jego pytaniem, zmuszona jego wzrokiem błagalnym, chyli mu się ze zmrużonymi oczyma na ramię, zdało mu się że czuje jak jej złote włoski muskają go po twarzy, jak jakieś niewidzialne rączki zbliżają jego usta ku tym ruchliwym usteczkom, jak one się łączą w pocałunku — cicho — namiętnie... i tylko drgają zlekka...

Nagle wstrząsnął się na siebie z oburzeniem i wypędził czarowne zjawisko z wyobraźni. — Potem



co myślał o niej, całowanie tych ust, które mu tyle pięknych rzeczy powiedziały, wydało mu się profanacją, wprost świętokradztwem.

I wszystko co usłyszał od tej przedudnej istoty zadźwięczało mu naraz uszach jak jakaś czarowna melodia, kojąca wszystkie jego bóle i troski, usłyszał jej dźwięczny serdeczny głos, który mu z niezrównanym wdziękiem i zapałem opisywał górski krajobraz. Z lubością wsłuchiwał się w te kochane dźwięki—wpatrywał się w obraz przed nim roztańczony,—widział go jak na jawie—i zdało mu się, że stoi tam w chmurach—na najwyższym szczycie i goni stęsknionym wzrokiem w dal—gdzie we mgłę mającą doliny—góry—miasta—i wygląda z rozpazą kogoś kto by mu na te wyżyny towarzyszył—kto by stanął chciał u jego boku—i patrzył w oczy kochając... Czuje się samotnym, opuszczonym—nieszczęśliwym... Lecz nie... oto jakiś tuman koło niego... jakaś mgła przejrzysta i słodka—upajająca błyszcząca w słońcu, wszystkimi barwami tęczy—mieni się—mąci...—Wyrastają z niej rączki przejrzyste,—otaczają mu szyję—ukazuje się główka złota—światłana—ruchem tajemniczym woła go za sobą... Zdumiony, szczęśliwy, wyciąga ku niej dłonie—ona figlarna—z mgły i róży utkana ucieka w błękitny na promieniu słońca... porywa za sobą tuman światłany i jego...—A on czuje w sobie dziwną lekkość i szczęście... czuje błogość co mu piersi przepęlnia, czuje zamieranie serca... spływa ku niej po stopniach, tkanych z białych chmur—chwytając jej eteryczne dłonie...—i płyną tak razem—płyną—w słońcu, chmurkach i błękitnie...

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Rozwój mowy u dziecka. — Hygiena mowy.

D-ra Ołtuszewskiego.

Za mało znamy nasze dzieci! Widzę zdziwienie na twarzach wszystkich, słyszę protest ogólny; nie zmienia to przecież faktu, że dzieci nasze znamy za mało. Kiedy w Paryżu rodzice przyprowadzili najpiękniejsze swoje pociechy na wystawę dzieci, oględziny lekarskie wykazywały, że niektóre z nich podlegają wadom organicznym, których leczenie powinno być dawno rozpoczęte; zaniedbanie pochodziło nie ze zbytnej przecież znajomości własnych dzieci. Nie możemy powiedzieć, że u nas dzieje się lepiej pod tym względem niż za granicą. Szczęśliwym są naszymi dziećmi, podziwiamy ich zdolności, bawimy się z nimi, a nierzadko nimi,—ale ich nie badamy.

W ubogiej naszej literaturze mało mamy prac poświęconych naukowemu badaniu dziecka. Wydany przed dziesięć laty (1887) przez J. Wł. Dawida przewodnik, ułatwiający poznanie dziecka p. t. „Program postarzeń psychologiczno-wychowawczych“ nie obudził szerszego zainteresowania, a do należytego zrozumienia i ocenienia takiej pracy jak „Zasób umysłowy dziecka, przyczynek do psychologii doświadczalnej“ ogłoszony przez tegoż autora w r. b.—powiedzmy szczerze, publiczność nasza nie jest przygotowana. Nic to przecież nie przeszkadza, aby nauka szła swoją drogą dalej, aby nowe jej gałęzie rozwijały się... nawet na naszym gruncie. Na wszystko zresztą potrzeba czasu, w nieubłaganej kolei którego nowe światło, nowe dążenia, nowe wymagania wnikają w masy. Każdy rok zaznacza się postępowaniem w tym względzie. Rok bieżący dał nam wystawę higieniczną, przez pośrednictwo której wiele publiczności pobudziło się do zainteresowania postępowaniem wiedzy, poszerzeniem warunków życia fizycznego i umysłowego, pogłębieniem myśli. Starannie urządzony dział wychowawczy w poglądowy sposób zwraca uwagę każdego na ważność przedmiotu, na znaczenie niektórych stron wychowania, dotąd lekceważonych lub zaniedbywanych. Zbożenia mowy na przykład nie będą, sądzimy, od czasu wystawy higienicznej

tak zaniedbane jak dotąd. Publiczność nierównie prędzej niż w zwykłej kolei rzeczy potrafi zrozumieć i ocenić nowe stanowisko, zajęte przez d-ra Ołtuszewskiego, jako lekarza zbożeń mowy, jako badacza w tym kierunku.

Mamy wcale niechwałebny zwyczaj wzywania rady lekarskiej dopiero w ostateczności... nieraz za późno... opieki lekarskiej nad naszym zdrowiem, doniosłego zadania lekarza domowego, nie pojmujemy. Leczenie zbożeń mowy nie leży w poczuciu naszego ogółu. Wstyd powiedzieć, że w XIX wieku do ostatniej chwili wyzyskiwali nas szarlatawi zagraniczni jako cudowni lekarze jąkania; jakże śmiać się w duszy musieli z narodu, wierzącego w jakieś tajemniczości kapłanów egipskich albo sekrety średniowieczne. Czyż my nie mamy tylu zdolnych lekarzy, czyż my nie mamy znanych pedagogów, uczących specjalnie mowy! Prace d-ra Ołtuszewskiego, mniemamy, położą koniec temu zacofaniu, rozproszą resztkę ciemnoty.

Rozpatrujemy właśnie dwie broszury: „Rozwój mowy u dziecka“ i „Hygiena mowy“ obie w r. b. wydane.

Istotę pierwszej pracy stanowi drobniogłowa obserwacja rozwoju inteligencji i mowy dziecka w ciągu trzech pierwszych lat życia, kolejne ukazywanie się głosek w wymawianiu dziecka, wyrazów, zdań; wszystko tu poprzedzono wstępem psychologicznym. Istotę drugiej pracy autora stanowi rozpatrzenie warunków mowy, zdefiniowanie różnych zbożeń jak jąkanie, bełkotanie, niemota, głuchoniemota; co wszystko opiera się na fizjologii mowy, którą autor podaje w streszczeniu z rysunkami. Nie miejsce tu wchodzić w szczegóły prac autora, torującego sobie nowe drogi. Są to zresztą broszury niewielkie, godne rozpowszechnienia, przepęlnione treścią różnych nauk z zakresu wiedzy przyrodniczej, psychologicznej, lingwistycznej, pedagogicznej i t. p. a wprost niemożliwe do streszczenia w krótkim sprawozdaniu. Już sam autor tak streszczał rzecz w niektórych rozdziałach, że stał się niejasnym dla przeciętnego czytelnika; korzyść np. z przeczytania powołanego powyżej wstępu psychologicznego jest wątpliwa.

Dalej,—uogólnienia, wprowadzone z obserwacji jednego dziecka uważać musimy za przedczesne, tem więcej, że rozwój mowy inny jest u chłopców, a inny u dziewcząt, że na rozwój ten wpływa ogólny stan organizmu, wykształcenie otoczenia i t. p. Przytem autor mało uwzględnił zależność mowy od głosu, jako objawu czysto fizycznego, objawu stopniowego wzmacniania się mięśni, płuc, języka i innych organów mowy.

Podział głosek (w drugiej broszurze) nie dość jasnym się wydaje dla przeciętnego czytelnika, a nie dość ścisłym dla specjalisty; opuszczenie *h*, jak znowu podwójne zamieszczenie w schemacie *r*—wymagałoby jakiegoś objaśnienia.

Podział spółgłosek na chwilowe i trwałe, obok podziału na wybuchowe i trące, wymagałby także objaśnienia, tem więcej, że autor nie posługuje się terminami, utartymi w gramatyce, że nie wiemy dla czego spółgłoski, *f*, *w*, *ś*, *ż* mają być trąciami i równocześnie *chwilowemi*, podczas gdy w pierwszej połowie schematu odpowiednie spółgłoski; *f*, *w*, *ś*, *ż* są trąciami i równocześnie *trwałemi*. Nie rozumiemy też, jakim sposobem można wymówić jakąkolwiek spółgłoskę przy użyciu „środku języka i podniebienia“ i jakim sposobem „tylna część języka łącznie z podniebieniem *twardem*“ może stanowić miejsce artykulacji (str. 19). Wszystko to są, zdaje się, błędy korektorskie, które do jasności wykładu wcale się nie przyczyniają.

Obowiązek sprawodawcy wyznać nam każe, że prace, które nas w tej chwili zajmują, nie należą pod względem opracowania do popularnych, pomimo że z treści swojej, zakresu i intencji autora na to są obliczone. Czy wypływa to z samej natury traktowanego przedmiotu, czy ze zbytnej przeładowania treścią, czy z braku zdolności popularyzatorskich uczonego autora, czy wreszcie ze zbytznego pośpiechu w wykonaniu,—nie decydujemy w tej chwili, licząc na to, że przy dalszych pożytecznych pracach w tym rodzaju rzecz sama się wyjaśni. Tymczasem prace te trzeba przyjąć takimi, jakimi są. Jako poruszające przedmiot nowy, a żywotny powinnyby się znaleźć w ręku wszystkich rodziców i wychowawców; mają one z jednej strony

znaczenie naukowe, a z drugiej praktyczne. Kto będzie świadomie śledził mowę dziecka, zauważy zbożenia, a jeśli stosowanie rad autora nie pomoże, uda się do lekarza lub pedagoga i to w okresie przedszkolnym, aby wczesnie trudność kształcenia dziecka usunąć.

Dr. Ołtuszewski podaje statystykę osób, wyleczonych w swoim zakładzie i na podstawie doświadczenia twierdzi, że jąkanie szczególnie w młodym wieku można stanowczo zaliczyć do nerwie uleczalnych. Wiadomość ta dla osób interesowanych będzie, sądzę, doniosłego znaczenia.

Dr. Ołtuszewski podaje w ogólnych słowach środki, stosowane przy usuwaniu różnych zbożeń mowy; gdy idzie o stosowanie środków leczniczych, mamy zupełne zaufanie do zakładu, prowadzonego przez lekarza, gdy jednak idzie o środki pedagogiczne, o ćwiczenia mowy, gotowibyśmy się zapytać, jakim specjalistom lekarz powierza tę pracę.

W. N-i.

Kazimierz Gliński.

## „PLON NIESIEM.“

Komedia w 2 aktach.

OSOBY:

|                    |                           |
|--------------------|---------------------------|
| Zygmunt Mirski.    | Karolina jego żona.       |
| Rozalja jego żona. | Wojciech sługa Mirskiego. |
| Leon Dołowicz.     | Hans Kopp.                |

Włoszanie i włoski.

Rzecz dzieje się w Prusach, w majątku Mirskiego.

Akt pierwszy.

Izba duża we dworze szlacheckim, sprzęty skromne, parę ław pod ścianami. Ołtarzyk Matki Boskiej Częstochowskiej ubrany kwiatami, na nim płonie malutka lampka. Wojciech zmiata kurz ścierką—po chwili daje się słyszeć turkot powozu.

**Wojciech.** A to co? (podchodzi do okna i patrzy). Jacyś państwo przyjechali—pewnie Szwaby, bo u nas co dwór to Szwab siedzi, co pałką rzucisz to Niemca trafisz. (Patrzy przez okno). Aha! stoją i rozglądają się, czy ja nie wyjdę... Jutro! Szkoda, że mój Łapaj w pole poszedł, a pogadałby z wami, jak się należy— — —

(Sprząta. Drzwi się otwierają, wchodzi Leon i Karolina).

**Wojciech** (zwraca się z dumą, zarzucając ścierkę na ramię). Wer da?

**Leon.** Wszak tutaj mieszka pan Zygmunt Mirski?

**Wojciech** (ściąga szybko ścierkę z ramienia—d. s.). Polaki! (radośnie a uprzejmie). Tutaj, proszę jaśnie pana—tutaj!..!

**Leon.** Jest w domu?

**Wojciech.** Jest—ino z panią na pole poszedł, bo to żniwa, roboty huk, ale patrzeć tylko, jak wróca.

**Leon.** To dobrze!... Pozwólcie nam teraz odpocząć trochę po dalekiej podróży i pokażcie, gdzie rzeczy umieścić, panie... Jak się nazywacie?

**Wojciech.** Wojciech Łopata.

**Leon** (do żony). Czystej krwi Polak a nas od wer da przywitał.

**Wojciech.** Bo ja myślał—z przeproszeniem—co państwo Szwaby.

**Leon.** Czyż do was tylko Szwaby zajeżdżają?



**Wojciech.** Jeżeli zajedzie to tylko Szwab, ludzkiej twarzy my już dawno nie widzieli.

**Leon.** Cha—cha—cha!...

**Karolina.** I nieuprzykrzy się Zygmuntoństwu ten pobyt w Kopfdorfie?

**Wojciech.** Gdzie, proszę jaśnej pani?

**Karolina.** W Kopfdorfie—mówię.

**Wojciech.** Przepraszam jaśną panią, ale mój pan mieszka w Kopkach. To Szwaby z Kopek Kopfdorf zrobili, ale oni i Pana Boga—Gotem przezwali.

**Karolina** (*śmiejąc się*). A—niegodziwcy!

**Wojciech.** Bezbożniki—to widno od razu!... Jak ja tu z Warszawy po śmierci starego pana przyjechał, to nie wiedział jak się rozmówić; u nich święta ziemia—Erd, Kón—Perd, całkiem inaczej niż u prawych katolików.

**Leon.** Ale teraz to już rozmawiacie po szwabsku?

**Wojciech.** Nauczył się *wer da*—dla zapytania, *verfluchter*, jeśli wyłajac trzeba; nauczył się i coś jeszcze, żeby Szwabom sadła za skórę zalać, ale tego to już i powiedzieć nie można.

(*Leon z Karoliną śmieją się*).

**Leon** (*do żony*). Ciekawy jestem, czy nas poznają—

**Wojciech.** To państwo się dawno nie widzieli?

**Leon.** Ja od lat dziesięciu nie widziałem Zygmunta, od chwili opuszczenia warszawskiego uniwersytetu. Kollegowaliśmy z sobą.

**Karolina.** Prawie lat tyle i ja nie widziałam się z Rozalką—na pensji w Warszawie byliśmy przyjaciółkami.

**Wojciech.** Oto radość z gości takich dla moich państwa będzie!... (*patrzy w okno*). Tylko co ich nie widać! (*szepcąc, daleko bardzo, śpiew*). Oho, jak żniwiarze zawadzali!... Przepraszam państwa, że idę, ale trzeba do kuchni zajrzeć i powiedzieć, żeby domiesili pierogów i jakiego kurczaka dodali. Rzeczy zuiosę do gabinetu pana a państwo niech przysiadą tutaj, albo do salonu przejdą, bo to pokój, gdzie schodzą się dziewczęta wiejskie i parobki, a pani z nimi pieśni nabożne śpiewa, uczy czytać i pisać po bożemu.

(*Wychodzi*).

**Leon** (*siadając*). Do Kopfdorfu trafiliśmy, ale o Kopkach niktby nam nie powiedzieć nie umiał. Toć kraj zupełnie niemiecki i, jak widzę, jedna wioska tylko Zygmunta zalewowi się oparła. Jest to ostatnia reduta, stojąca na kresach zachodnich, gdzie on chce rolę Mohorta odegrać.

**Karolina.** Z kilku słów Wojciecha widzę, że tu jest brak wszelkiego towarzystwa a jeśli i pan Zygmunt ma podobne, jak Wojciech, przekonania—nie zazdrościć losu Rozalii.

**Leon.** Już to Zygmunt odznaczał się zawsze dziwactwem. Te Kopki, dawne dziedzictwo swoje, procesem wygrał od Niemca, który mu cenę podwójnej wartości zaraz dawał. Ale nim powodowała jakaś idea!... Zaszły się tutaj, jak kret, i do reszty zdziwiać musieli.

**Karolina!** Biedna Rozalka!

**Leon.** Cóż chcesz—w sielankę się bawią. Śpiewają pieśni nabożne, a. b. c. uczą dzieci i coute que coute chcą prastary obyczaj zachować.

**Karolina.** Lecz czy to wszystko może wystarczyć młodej kobiecie, jaką jest Rozalka? Jeżeli jest taka jaką ją w pamięci swojej zachowałam—to szkoda tych ust prześlicznych, tych rączek proszących się pod dłuto rzeźbiarza, szkoda piękności i młodości! Kwiat pełen powabu wędnie w ukryciu—i dla czego? Powiem to wszystko panu Zygmuntoństwu i Rózię trochę zbuntuję.

**Leon.** Za trudno ci to będzie, moja pani!

**Karolina.** Wiesz, że mnie wszystkie trudności nie tylko nie odstraszą, lecz przeciwnie, dodają bodźca.

**Leon.** Przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

**Karolina.** Odwyknąć łatwo od barwy szarej, gdy przed okiem błyszczą kolory tęczy.

**Leon.** Daj lepiej spokój próbie!

**Karolina.** Nie (*d. s. odwracając się od męża*) nie!... Ja panie Mirski nie zapomnę tych słówek, które miś mnie wabił do siebie a później rzucił dla pięknych oczek Rózi... (*głośno*). Jak to dobrze, że na drodze naszej spotkaliśmy Kopfdorf!

**Leon** (*wstając szybko*). Cicho!... Słyszę chód—to pewnie oni! Stańmy tu na uboczu. Ciekawy jestem czy nas poznają?

(*Drzwi się otwierają—pieśń żniwiarzy brzmi głośniejszą chwilę. Wschodzą: Zygmunt i Rozalja w wieńcu blawatkowym*).

**Zygmunt.** Coraz szerzej pieśń się rozlewa zapomniana, przekłeta! Czy pamiętasz, Rozalko!... gdyś przed laty ośmiu tutaj przybyli, niczyje usta nie śpiewały żniwarskich tych pieśni, jakby związane wstydem jakimś, jakby dźwięki słów rodzinnych za ubogie, czy za barbarzyńskie były. Gdzie nie gdzie tylko, z tej to z tej chałupy dolatywała przyciszona nuta swojskiego śpiewu, której już nawet wieś okoliczna nie znała—a teraz rozbrzmiewa nią łan cały i dalekie, hen—powtarzają echa. Na polach zebrało się dzisiaj żniwiarzy sporo, z dalszych siół przybyli nawet robotnicy i wtórują naszym. Przypomniały się im znajome lecz zapomniane dźwięki i przygarnęli się do ciebie, szepcąc: „Przypomnij nam pani!“ (*Tuli żonę*). Najdroższal...

**Rozalja** (*całując męża*). Zygmuncie!

**Zygmunt.** To twoja zastługa.

**Rozalja.** Nie—to twój posiew.

**Zygmunt.** Byłby marny, gdyby nie padł na rolę dobrą.

**Rozalja.** Któraś ty, dobry oraczu uprawić umiał.

**Zygmunt.** Zrozumiałaś mnie tylko.

**Rozalja.** Bo wykład mistrza był dostępny dla umysłu uczenia.

**Zygmunt.** Jeżeli rzucił słowo—ty z niego czyn potrafiłaś urobić.

**Rozalja.** A ty? a ty?

**Leon.** Dajcież już pokój moi państwo temu wzajemnemu komplementowaniu się.

**Zygmunt i Rozalja** (*zwracają jednocześnie głowy*). Kto tam? (*wpatrują się*).

**Leon.** Nie poznajecie?

**Zygmunt.** A—Leon!...

**Rozalja.** Linka!

(*Serdeczne powitania i pocałunki*).

**Zygmunt.** Zkądże to?

**Leon.** Z Warszawy.

**Rozalja.** Do nas?

**Karolina.** Jak widział!

**Leon.** Z Warszawy prosto do was!

**Zygmunt.** Nie wierzę, mów prawdę, bo nie wierzę. To jakiś tylko szczęśliwy wypadek was tutaj sprowadził. Po latach tylu milczenia, a jak się zdawać mogło, zapomnienia nawet, nagle zjawienie się wasze tu, w Kopkach, w tym zapadłym zakątku Prus, którego na najszczęśliwszej nie szukaj mappie, bo wymieniony tam Kopfdorf nie mógłby was wyprowadzić na drogę właściwą—jest dla mnie wprost niepojętem. Owóż, kochany Leonie, nie zwracaj mi głowy i przyznaj się otwarcie do wszystkiego. Że nie jechałeś wprost do mnie—to wiem z góry; w jaki więc sposób zjawiłeś się tutaj—siadaj i—mów prawdę!...

**Karolina.** Ma pan słuszność. Wyjeżdżając z Warszawy nie mieliśmy zamiaru odwiedzenia państwa, bośmy nie wiedzieli wcale gdzie was szukać.

**Zygmunt** (*do Leona*). A widzisz—kobiety zawsze są prawdopodobniejsze.

(*Karolina i Rozalja kłaniają się — Zygmunt oddaje ukłon*).

**Leon.** Nie odzwyczaił się od komplementów i na tej pustyni.

**Rozalja.** Pustyni?

**Zygmunt.** Płacze się coraz bardziej: do Afryki jechał a trafił do Kopek.

(*Śmiech*).

**Leon.** Nie—jechaliśmy tylko do Berlina. Dojeżdżając do stacji najbliższej wsi waszej, zasłyszeliśmy w wagonie rozmowę dwóch Niemców, którzy parokrotnie wymienili imię i nazwisko twoje. Może bym na to nie zwrócił uwagi, lecz się zaplątało i imię pani Rozalji. Imiona i nazwiska dawnych znajomych i przyjaciół (wiedziałem zaś, że gdzieś na krańcach Prus mieszkacie), zastanowiły mnie. W gawędę tedy z panem Niemcem, zna ciebie do skonał, bo kilkakrotnie namawiał, byś sprzedał mu swoje Kopki.

**Zygmunt.** A—Szwarcberg!... Dawny a nieprawy posiadacz Kopfdorfu—

**Leon.** Tak, tak, tak—Szwarcberg!... czuł się w obowiązku przedstawienia się mi.

**Zygmunt.** Wstrętny Szwab!

**Karolina.** Na mnie zrobił wcale przyjemne wrażenie.

**Zygmunt.** Układny lis—a hekatysta *jusqu'au bout des ongles*.

**Rozalja.** Sąsiadem jest naszym i od dawna zagiał parol na Kopki.

**Karolina.** Bywa u was?

**Rozalja** (*z oburzeniem*). Niel!...

**Leon.** Od niego tedy dowiedziałem się o was: że mieszkacie w Kopfdorfie, że ty Zygmuncie jesteś nie wzruszony w raz powziętych zamiarach, ale—że nie masz skały, któraby się nie skruszyła, gdy kropla po kropli wciąż na nią padać będzie, a tu nie krople uderzają, lecz jednostajne wciąż, a silne, wytrwałe fale morskie. Z opowiadań jego przedstawiliście się mi jako straceńcy broniący przegranej sprawy.

(*Słychać znów śpiew żniwiarzy*).

**Zygmunt.** Słyszysz?...

**Leon.**

„Poszła panna po wodę,

„Miała piękną urodę— —“

A zkądże się aż tu ta nasza, mazurska piosnka zabłąkała?

**Zygmunt** (*z uśmiechem*). Zkąd? zkąd?... (*całuje żonę w rękę*). Ale czy myślisz, że ja i inne do niej podobne śpiewano tu przed naszym przybyciem?

**Leon.** Wiem coś o tem od Szwarcberga.

**Zygmunt.** Ale—kończ opowiadanie.

**Leon.** Nie wątpię już, że jestem blisko ciebie, gorączkowo nacierany przez Karolinę (*Zygmunt kłania się z uśmiechem—i otrzymuje złośliwy trochę ukłon od Karoliny*) zmieniam marszrut, dowiaduję się o Kopfdorfie i oto mnie masz.

**Zygmunt.** Po raz pierwszy mogę coś Szwarcbergowi zawdzięczać. Ale za gorące poparcie przez panią zamiaru męża—doprawdy, nie wiem jak dziękować (*ciszzej do Karoliny*). Nie spodziewałem się tego—

**Karolina.** Chciałam się trochę przypomnieć—

**Leon.** Myślałem, że pani zapomniła o mnie zupełnie.

**Karolina.** O nie! ja zapominam nie łatwo—panów Zygmuntoństw.

**Zygmunt.** W takim razie pamięć pani jest zbyt obciążoną—

**Karolina** (*odwraca się znacząco—do Rozalji*). Jakże ty tu czas przepędzasz?

**Rozalja.** Zupełnie jak wiejska dziewczyna—zajmuję się gospodarstwem, stroję się w bławatki, czasem sama snop użnę na łanie—

**Karolina.** To dość zabawne!

**Zygmunt** (*do Leona*). No—jesteście u nas—nie prędko już was ztąd puścimy.

**Rozalja.** O nie, nie—nie—nie!...

**Leon.** Jutro rano wyjeżdżać mieliśmy koniecznie.

**Zygmunt.** Cóż znów?...

**Rozalja.** Linko!

**Karolina.** Tak, moja najdroższa—śpieszymy do Berlina na wezwanie matki Leona, która jest bardzo chorą. Telegraficznie zawiadomiliśmy ją o naszym przybyciu jutro, mamy więc jeden dzień tylko do rozporządzenia. W tym wypadku chybień terminu byłoby grzechem.

**Zygmunt.** Ma pani słuszność—obowiązek przede wszystkim. Ale z powrotem?

**Leon.** Na tydzień, dwa, rok nawet, jeśli się wam nie uprzykrzymy.

**Zygmunt.** Brawo!

**Rozalja.** Pana Leona za słowo chwytam—rok cały!...

**Leon** (*naiwnie*). Już to prawda, to mojej mamy nie ma wcale w Berlinie.

**Karolina.** Leonie!...

**Leon.** No cóż, moja duszko, chcę i ja być prawdopodobny.

**Zygmunt** (*kłaniając się Karolinie*). Aaa!...

**Karolina.** Wymyśl niewinny—ale... ale... (*podchodzi do Zygmunta—szepcąc*). Pan zrozumiesz—jeżeli nie osłabła pamięć pańska.

**Zygmunt** (*szepcąc*). Nie budźmy, pani, wspomnień, które ciężarem przewinienia nie na mnie ciążyą. Ja chciałem mieć towarzyszkę życia, a pani—powol-



nego swym kaprynikom służkę — Nie dobraliśmy się!

**Leon.** Co tam, moi państwo, szepeccie?

**Karolina.** Namawia — byśmy zostali.

**Leon.** A ty?

**Karolina.** Zgodziłam się.

**Rozalja.** Niechże cię wyściskam, Linkol...

**Zygmunt** (z uśmiechem, do Karoliny). Pani jest dziwnie prawdomówna!...

**Karolina** (patrzy na niego płonącymi oczyma). Zaw-sze ten sam!...

**Rozalja** (klaszcze w ręce — z podskokiem). Zostają! zostają!... (całuje Karolinę).

**Zygmunt.** Jednak dobra jest z ciebie gospodyni, moja Róziu! Goście pewnie głodni, a ty nie o dodatku do obiadu nie myślisz.

**Rozalja.** Ach — prawda!.. Tak uszczęśliwiona byłam waszem przybyciem, tyle duchowej radości doznałam, że zapomniałam zupełnie o potrzebach cielesnych. Przepraszam — biegnę i za małą chwilę służyć państwu znów będę.

**Leon** (zatrzymuje spieszącą). Przepraszam — gospo-dzia może się nie trudzić i z nami pozostać.

**Rozalja.** O nie, mój panie — nie wolno mi obow-iazków gospodyni zaniedbywać.

**Leon.** Już wszystko jest załatwione: Liczba pie-rogów się zdwoi, półmisek o parę kureczaków się po-większy.

**Rozalja** (zdziwiona). A z kąd pan wie, że dziś u nas pierogi i kureczka na obiad będą?

**Zygmunt.** A kol zajął w pierw do kuchni, nim do nas zawitał!...

**Leon.** Muszę się oczyścić z tak niemiłego podej-rzenia. Zaledwie próg waszego domu przestąpił, zabrałem znajomość z Wojciechem, wielkim przy-jacielem Szwabów. Pomiedzy różnemi rzeczami, o jakich mi stary nagadał, dowiedziałem się i o me-nu obiadom. Wojciech wyreczył swoją panią i kazał objętość dań zwiększyć.

**Zygmunt.** Pocciwy stary!

**Karolina** (do Rozalji). Zostań więc z nami i nie troszcz się o nic, gdy masz takiego wyręczyciela.

**Rozalja.** Zostaję więc, tem bardziej, że drogą mi jest każda chwila spędzona z wami. Ale przejdźmy do salonu — czas już państwu nasze apartamenta pokazać.

**Leon.** Czy tu nam jest źle, w tym pokoju prze-siąkłym nabożnemi pieśniami dziewcząt i chłopców wiejskich?

**Rozalja.** Wojciech wygadał wszystkol!...

**Zygmunt.** Zostanmy więc. Ja nawet wolę tę izbę od tak zwanego salonu. Przestronniej tu jakoś, i cieniu więcej od drzew rosnących przed domem i ptaszek czasem odezwie się z krzewu, to z pól do-leci zapach zbóż lub pobrzęk kosy.

**Karolina.** Prawdziwy gospodarz z pana.

**Zygmunt.** Nie przeczel!...

**Leon** (który się rozglądał). A — szachy!

**Zygmunt.** Zawsześ amator?

**Leon.** Zpassywowany!

**Zygmunt.** Chcesz może spróbować?

**Leon.** Budź i w nocy.

**Zygmunt.** Siadajmy więc!

(Zasiadają do gry).

## WIADOMOSCI

Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

# O ZAZIĘBIENIU.

przez

D-ra Stanisława Kamińskiego.

Jeżeliby przywiązywać wagę do mniemań ogółu, doszlibyśmy do przekonania, że większość chorób tra-piących ludzkosć pochodzi z zaziębienia. Nieraz sły-szeć się dają opowieści, że ktoś dostał suchot po wypie-ciu wody zimnej w czasie wieczoru tańcującego, a ktoś inny został sparaliżowany, stojąc w cugu i t. p. Wszak nawet w języku ludowym „zawiany“ ozna-

cza osobnika dotkniętego bezwładem (paralizem). Prócz tego publiczność obawia się zaziębienia w rozmaitych chorobach; znane są opowieści o za-ziębianej wysypce ostrej, (odrze, szkarlatynie i t. d.), która się wskutek tego, „schowała“, następstwem czego były rozmaite choroby i pogorszenie w stanie ogólnym chorego. Mniemania podobne o zaziębie-niu panowały również przez czas długi wśród leka-rzy i liczba chorób mających pochodzić z zaziębie-nia powiększała się ciągle, a obawa zaziębienia ka-zała ludziom więzić siebie i swoich w dusznych mieszkaniach, nie wyprowadzać dzieci przez całą zimę na świeże powietrze, pozostawać im w brudzie i niechlujstwie. Ta obawa zaziębienia było powo-dem wstrętu lekarzy do leczenia wodą (hydrotera-pii) i ona spowodowała, że twórcą obecnie istnieją-cych metod wodolecznictwa był chłop szląski Pries-nitz.

Wkrótce jednak, w części pod wpływem świe-tnych rezultatów, jakie dawała metoda wodoleczni-ctwa, zarówno w chorobach ostrych, jak i przewle-klých, w części pod wpływem bardziej krytycznego badania zaziębienia jako mniemanej przyczyny róż-nych chorób, zaczęto się bardziej sceptycznie zapa-trywać na tę sprawę. Najprzód wykluczono stano-wczo zaziębienie jako moment przyczynowy chorób zaraźliwych zarówno ostrych jak i przewleklých, (a więc wszelkich wysypek ostrych, tyfusów, suchot i t. d.), następnie ograniczono rolę zaziębienia przy powstawaniu spraw zapalnych na błonach śluzowych dróg oddechowych (nosa, gardzieli, oskrzeli i płuc), sprowadzono do zera wpływ przeciągu czyli t. zw. cugu na powstanie chorób nerwowych. Pod wpły-wem tych ograniczeń zachodzono tak daleko, że nie-ktorzy zaczęli wątpić zupełnie, aby niska temperatu-ra miała wpływ na powstawanie chorób, zaczęto po-mawiać o nieuctwo tych, którzy byli przeciwnego zdania. Wtedy i wśród publiczności powstała orgia hartowania siebie i innych, powstała moda obnażania zwłaszcza dolnych kończyn, męczenia dzieci w imię najnowszych zasad nauki, które dla większości były tylko najświeższymi modami z żur-nalów paryskich i londyńskich. Któż z nas nie spo-tykał biednych dzieci chodzących po zimnie z gołymi łydkami, aby dogodzić próżności matek, komu wtedy na myśl nie przychodził biedny Daudetowski Jack, jak go odmalował poeta w przedsionku szkoły.

Na szczęście jednak dla ludzkości ta orgia har-towania, to lekceważenie wpływów zimna na zdro-wie ustroju nie trwało długo. Wkrótce nastąpiła reakcy-a, która nie wróciła wprawdzie nauki na da-wne tory, która jednak, korzystając z wyników sce-ptrycyzmu, przyznała zaziębieniu pewną i to dosyć znaczną rolę w powstawaniu chorób.

Jaki może być skutek zimna na ustrój?

Odpowiedź prosta: odjęcie pewnej ilości ciepła temuż ustrojowi. Ponieważ czynności życiowe od-bywać się mogą tylko przy pewnej ciepłocie ustroju resp. krwi, która się waha między 36,5° 37,5° C. (29, — 30° R), więc jeżeli ciepłota ciała obniży się, czynności życiowe isć będą opieszale, aż przy-jdzie taka chwila, kiedy zupełnie ustaną. Chwila ta nastąpi skoro ciepłota ciała obniży się do 15—18° C. Wtedy następuje śmierć ustroju.

Zdawałoby się, że podobne obniżenie ciepłoty ustroju co chwila grozić nam winno, gdyż otaczają-ce nas powietrze rzadko tylko ma równie wysoką jak ustrój nasz ciepłotę.

Wiadomo bowiem z fizyki, że dwa ciała będące w zetknięciu dopóty pochłaniają lub tracą ciepło dopóki ich temperatury nie staną się sobie równe. Takby byłoby w samej rzeczy gdyby ustrój nasz nie posiadał środków utrzymywania swej ciepłoty na jednakowym potrzebnym dla niego poziomie. Środki te są dwojakiego rodzaju: 1) pewne przy-sposobienie naczyń i nerwów skórnych regulujących utratę ciepła i powierzchni ciała i 2) odzież.

Naczynia skóry zarówno jak i inne posiadają ner-wy zwane naczynioruchowemi.

Otóż skoro zimno podrażni nerwy skórne, wtedy na drodze odruchu nerwy naczynioruchowe wywo-lają skurcz naczyń skórnych, skoro podrażnienie ustaje, wtedy naczynia skórne się rozszerzają; pod wpływem gorąca następuje czasowy paraliż nerwów naczynioruchowych i naczynia skórne rozszerzają się bardzo znacznie.

Jasną jest rzeczą, że przez skurczone, zwężone na-czynia przepływać może znacznie mniej krwi niż

przez rozszerzone. Wyrazem powyższego jest to, że pod wpływem zimna skóra nasza blednie, pod wpływem gorąca czerwieni się. Ponieważ zaś naj-większa ilość ciepła ustroju uwieczona jest niejako we krwi, więc im mniej krwi znajdować się będzie na powierzchni ciała resp. w skórze, tem mniej ciepła tracić będzie ustrój z powierzchni, tem więcej zachowa go dla siebie. Odwrotnie im skóra bogat-sza będzie w krew, tem więcej ciepła tracić będzie ciało przez promieniowanie, tembardziej ochłodzi się nasz ustrój. Na tej zmianie napełnienia naczyń skórnych polega t. zw. regulacya ciepła w ustroju.

Przypuszczano dawniej, że regulacya ta nie ma prawie granic i jako dowód przytaczano, że czło-wiek zarówno żyć może w strefach zwrotnikowych jak i podbiegunowych. Tak jednak nie jest i jeżeli człowiek zamieszkuje wszystkie klimaty, to nie dzieki swej zdolności regulacyi ciepła w ustroju, lecz dzięki drugiemu czynnikowi, który to ciepło utrzy-muje na stałym poziomie, t. j. odzieży. W samej rzeczy jeżeli rozbierzemy człowieka do naga w tem-peraturze nawet 19° C, t. j. takiej jaka bywa w po-kojach dobrze ogrzanych w zimie, to człowiek ten wkrótce doświadczy uczucia zimna a termometr przekona nas, że temperatura jego ciała opadła znacznie. Nie stosuje się to tylko do temperatury powierzchni ciała, lecz i do temperatury krwi, a więc i całego ustroju.

Można powiedzieć, że ciepłota w której człowiek nagi mógłby istnieć jest ciepłota około 27° C. (21,6° R.). Ciepłotę taką mamy bardzo rzadko w naszym klimacie, a nawet pod zwrotnikami w porze deszczu ciepłota powietrza opada znacznie niżej.

Człowiek więc tylko dzięki odzieży przystosowa-nej do rozmaitych pór roku i klimatu istnieć może we wszystkich strefach.

Na zasadzie powyższego pojąć łatwo, że zimno wywiera pewien wpływ na organizm i że wpływ ten o tyle jest szkodliwym o ile pociąga za sobą obniże-nie ciepłoty ustroju.

W zjawiskach jednak, które uważamy za skutek zaziębienia, rzadko mamy do czynienia z takim obniżeniem ciepłoty ciała, aby ona wpłynąć mogła na zmianę w czynnościach żywotnych, albo na usta-nie ich, jak to ma miejsce w zamarznięciu kiedy człowiek umiera litylko w skutek obniżenia ciepłoty organizmu. Choroby z zaziębienia są to cierpienia które powstają nieraz w tych warunkach, że działa-nie zimna jest tak krótkotrwałem i nieznacznem, iż nawet często nie zwracamy nań uwagi. Nieraz zdarza się, że dopiero po zjawieniu się kaszlu, kataru lub bólu w stawach przypominamy sobie, iż tego dnia wyszliśmy nieco lekko ubrani z domu i że nam było trochę zimno. Jakież więc zjawiska szkodliwe pociąga za sobą niska temperatura po-wietrza, jeśli nie powoduje znaczniejszego i dłużej trwałego obniżenia ciepłoty ciała? Mówiliśmy wy-żej, że pod wpływem zimna naczynia skóry kurczą się i że w skutek tego krew z nich odpływa. Natu-ralnie odpłynąć ona może tylko ku organom głę-biej położonym, a więc ku mięśniom, organom od-dychania, trawienia, stawom, ośrodkom nerwowym i t. d. W skutek tego napływu krwi do organów wewnętrznych powstaje w nich przekrwienie, prze-piętnienie naczyń krwią.

W ten sposób u osób cierpiących na serce albo też mających bardzo kruche tętnice, mogą powsta-wać krwotoki w wewnętrznych organach ciała. W tem znaczeniu rozumieć możemy, że zaziębienie stało się powodem apopleksyi albo krwotoku płuc-nego. Właściwie zaziębienie było tu tylko przy-czyną przypadkową, główną zaś przyczyną istnieją-ca już poprzednio, kruchosć naczyń. Ma tu miej-sce to samo co przy przytaczanych nieraz wypad-kach apopleksyi pod wpływem wzruszenia: nie radość lub rozpacz zabiły chorego lecz one spowodowały większy napływ krwi do mózgu, nadmierna zaś ilość krwi rozerwała wiotkie naczynia.

Oprócz powyższego, przekrwienie organów we-wnętrznych może mieć i inne skutki. Wiadomo, że im jaki organ jest bogatszy w krew, tem przemiana materji jest w nim szybszą i bardziej natężoną, i tem łatwiej powstawać w nim mogą rozmaite sprawy chorobowe. Przedewszystkim mieć tu nale-ży na uwadze rozmaite sprawy zapalne, które po-wstawać mogą najczęściej w organach bogatych w krew. W ten sposób powstają kataru nosa, oskrzeli i w ogóle dróg oddechowych; w ten sposób



## Wycieczka na Islandyę.

(SZKIC Z PODRÓŻY).

(Dokończenie).

powstają zapalenia organów trawienia, jamy brzusznej, reumatyczne zapalenia stawów, neuralgie i t. d. W wielu bardzo w tych procesach chorobowych odgrywają doniosłą rolę bakterie chorobotwórcze. Zdaje się, że przekrwienie ułatwia tym bakteriom dostawanie się do tkanek i sprzyja ich rozmnażaniu się. W ten sposób objaśnić sobie możemy powstawanie chorób zakaźnych pod wpływem zaziębienia, zresztą rzeczy te są mniej znane i dotychczas stosunek między zaziębnieniem się, a powstaniem chorób zakaźnych jest bardzo ciemny.

Co jest rzeczą zupełnie pewną to powstawanie katarów dróg oddechowych pod wpływem zaziębnienia. Katary te są też najczęstszym następstwem działania niskiej temperatury na ustrój. Zwykły katar nosa jak to każdemu wiadomo, objawia się zaczerwienieniem błony śluzowej tego organu i wydzielaniem śluzu lub ropy. Podobne objawy mamy na błonach śluzowych organów dróg oddechowych przy ich zapaleniu. Mamy tu tak samo zaczerwienienie błony śluzowej krtani, tchawicy, oskrzeli i wydzielanie z powierzchni tej błony śluzowej śluzu lub ropy. Jak przy katarze nosa ma miejsce od czasu do czasu kichanie, będące wyrazem podrażnienia nerwów błony śluzowej i mające na celu wydalanie zawartości nosa na zewnątrz: tak przy zajęciu krtani, oskrzeli, tchawicy powstaje kaszel, który również jest reakcją na podrażnienie nerwów tych organów i przy którym również śluz i ropa wydalają się na zewnątrz. Oprócz kaszlu objawem zapalenia górnych dróg oddechowych, mianowicie krtani, jest chrypka objaw znany każdemu i dlatego nie potrzebujący bliższego opisu. Powstaje ona w skutek zapalenia t. zw. strun głosowych, których drgania służą do wydawania głosu. Chrypka towarzyszy każdemu zapaleniu krtani i zwykle jest objawem małoważnym, przechodzącym w parę dni. Gdy zaciąga się ona na dłużej, zapowiada poważniejsze zmiany na strunach głosowych i krtani. Najczęściej mamy do czynienia wtedy z owrzodzeniami krtani pochodzenia gruźliczego (suchoty gardlane). Jeżeli więc chrypka trwa dłużej to zawsze jest objawem poważnym i należy zasięgnąć rady lekarza. Jaki jest stosunek zaziębnienia do powstawania gruźlicy, stanowczo nie wiemy: jest rzeczą prawdopodobną, że nie zaziębnienie wywołuje gruźlicę, lecz że gdy pod wpływem tego ostatniego powstaną objawy zapalne dróg oddechowych, wtedy gruźlica rozwijać się zaczyna szybciej i dopiero wówczas zwraca na siebie uwagę. Tem objaśnić możemy że chorzy na suchoty początki swej choroby datują zwykle od jakiegoś zaziębnienia. Ponieważ jednak zaziębnieniu podlegają ludzie wszyscy, na suchoty zaś choruje, na szczęście, stosunkowo nie wielu, jest więc rzeczą prawdopodobną że zaziębnienie przyczyną suchot być nie może.

Inną kategorię spraw chorobowych powstających w skutek zaziębnienia stanowi t. zw. reumatyzm. Jestto zapalenie mięśni lub stawów, zwykle dosyć szybko przechodzące, a objawiające się obrzmieniem i bólem części chorej. Reumatyzm stawów byłby sam przez się chorobą choć bardzo przykrą, ale względnie niewinną, gdyby nie to że następstwem reumatyzmu bywają często ciężkie choroby serca. Dlatego też chorzy na reumatyzm powinni się leczyć bardzo troskliwie, strzedz się usilnie zaziębnienia.

Z powyższego widzimy, że zaziębnienie bywa przyczyną wielu chorób, a istniejące już, nieraz pogarsza. Leczenie tych chorób nie może być naturalnie przedmiotem popularnej pogawędki, natomiast ważną jest rzeczą wiedzieć jak zapobiegać zaziębnieniu się. Osiągnąć ten cel możemy dwojakim sposobem: raz przez zapobieganie zbyt dużej utraty ciepła ustroju, powtórnie przez uczynienie naszego organizmu mniej wrażliwym na wpływy niskiej temperatury.

Utracie ciepła zapobiega odzież przystosowana do pór roku i klimatu; zahartowanie ustroju na wpływy temperatury odbywać się może drogą stopniowego przyzwyczajania go do tych wpływów. Ponieważ jednak dla zrozumienia zarówno wpływu odzieży jak i hartowania ustroju na zmiany temperatury, potrzebna nam jest nieco bliższa znajomość fizjologii i higieny skóry, o tych więc rzeczach pomówimy w następstwie.

W północnej części tej gromady źródeł spotykamy jeszcze jedno godne bliższego badania. Składa się ono z dwóch otworów odległych od siebie o kilka stóp, mających jednak podziemne połączenie. Tylko w bardziej na północ wysuniętym gotuje się woda. Po chwili wrzenie wzmagają się, woda podnosi się w obu otworach i nagle zaczyna się wszystko na nowo i tak ciągle dalej bez przerwy; między jednym a drugim miniaturowym wybuchem upływa 1½ do 2 minut.

Okresowość ta jest wogóle wszystkim tu znajdującym się wrzącym źródłom właściwą, choć może nigdzie nie występuje tak wyraźnie, jak w opisanym przed chwilą.

A jednak, któż jest w stanie dać opis wszystkich tych źródeł, w które okolica tutejsza tak obfituje. Wszystkie niemal możliwe formy znaleźć tu można. Niektóre składają się tylko z wąskiego, cylindrowatego otworu, w którym woda zwolna wznosi się, to znowu opada, w innych woda wre i tryska do kilku stóp w górę; znajdziesz tu brzydkie, wrzące kałuże pełne błota, lecz także małe, ładne i syczące wentyle. A nad nimi wszystkimi wznoszą się olbrzymie chmury pary, które przy silnym wietrze nie są wprawdzie bardzo imponujące, podczas ciszy jednak w powietrzu, wznoszą się olbrzymie białe te masy prostopadłe w górę i nadają całej okolicy prawdziwie wspaniałą i imponującą wykład.

Cechą charakterystyczną, jaką tu na każdym kroku spotykamy, jest powłoka kamienna, jaką źródła te z siebie wydzielają. Ziemia dokoła każdego niemal źródła powleczone jest tego rodzaju powłoką. Obecnie ciała, leżące w wodzie, powlekają się nią również po pewnym przeciągu czasu; na każdym kroku widzieć można małe gałązki drzew, jakby skamieniałe; skamieniałe kawałki papieru, skamieniałą trawę i t. p.

Jak z jednej strony liczne te zjawiska są bardzo interesujące, tak z drugiej trudno zaprzeczyć, że stanowią one tylko słabą pozostałość obfitej w bogactwa przeszłości. Winę tego przypisują w Islandyi turystom zagranicznym, w pierwszym rzędzie angielskim, którzy przez wrzucanie kamieni wiele źródeł zniszczyli! Zarzut ten jest jednak zupełnie bezpodstawny. Źródła wybuchające są wytworem wielkich zjawisk wulkanicznych i jako takie żyją tak długo, dopóki się siły, które je wywołały i zasilały, nie wyczerpią. Z biegiem czasu zamieniają się źródła wybuchające same przez się na wrzące, z tych powstają następnie gorące, potem siarczane lub kałuże błotniste, aż wreszcie zanika wszelki ślad życia.

Że taki a nie inny jest przebieg widać to w Islandyi na każdym kroku; gdzie dawniej były wspaniałe źródła, dziś pozostały nieznaczne tylko otwory. Był tu wprawdzie kiedyś jakiś angielski turysta, któremu strzeliła dzika myśl do głowy zasypania źródła Stokkr. Udało mu się też zasypać otwór ziemią i kamieniami, aż po sam wierzch; dokonawszy tego odjechał do Reykjavik i tu z dumą opowiadał, że wybuchom Stokkra raz na zawsze koniec położył. Pomylił się jednak bardzo; Stokkr nie był jeszcze w owym czasie tak osłabiony jak obecnie i cały ładunek wkrótce potem wyleciał z hałasem jakim korek od szampana.

W pierwszym dniu mego dobrowolnego życia pustelniczego położenie moje, nie rachując przykrych nocy, było dość znośne; wszystko miało dla mnie jeszcze cechę nowości, a największą przyjemność sprawiało mi to, że mogłem przyrządzać sobie jedzenie przy pomocy gorącej wody Geizira i Blesi. Ranną kawę piłem w odległej o 10 minut od mego namiotu, małej i ubogiej osadzie Laug; siedziałem tu w ciemnej izdebce w towarzystwie kołowrotka, skrzyni i na czerwono pomalowanego stołu. Miejsce rozbitej szyby zastępował worek. Przed południem miałem wizytę jakiegoś wieśniaka z dwoma synami, który proponował mi kupno łyżek z ro-

gu i wyrobów ze srebra; popołudniu odwiedził mnie inny kupiec i ten chciał mnie uszczęśliwić młodym lisem niebieskim. Były to najważniejsze wypadki dnia tego.

Druga noc była jeszcze gorsza niż pierwsza, woda wtargnęła bowiem nie na żarty do mego namiotu, robiąc z niego rodzaj akwaryum. Przenosiłem się z improwizowanym moim łóżem z miejsca na miejsce, lecz nie to nie pomagało: w dole istnie stały, z góry przeciekał deszcz bezustannie.

I musiałem być niemal wdzięczny niebiosom, że się tylko na bólu zębów skończyło, że się nie nabawił jakiej poważniejszej choroby.

Wieczorem dnia tego przenosiłem się do Haukaadal; za żadne skarby świata nie byłbym się odważył na przepędzenie jeszcze jednej nocy w namiocie.

Haukaadal, porządna ale nie zbyt wielka osada, była w starożytności słynną siedzibą naczelników wodzów, a Are Frode, ojciec literatury Islandzkiej przepędził tu swoją młodość. Nieopodal osady stoi mały kościółek; patrząc nań przekonałem się, że zdziwieniem, że był on aż do najdrobniejszych szczegółów podobny do tych, jakie dotąd w Islandyi spotykałem. Objasniono mnie potem, że wszystkie kościoły budowane tu bywają podług jednego wzoru.

W gospodzie wyznaczono mi schludny pokój. Dwie skrzynie zasłane workami z sianem stanowiły łóżko; było ono, jak w ogóle łóżka w Islandyi, o połowę krótsze od zwyczajnego, szczęściem jednak tak szerokie, że mogłem się na niem ułożyć na ukos. Widziałem starania, ażeby mi dogodzić, byłem więc wdzięczny i za to, co miałem.

We wtorek przed południem deszcz wreszcie ustał i powietrze stało się czystsze, postanowiliśmy więc zrobić wycieczkę do położonego stąd o 3 milie pięknego wodospadu Guldfluss.

Do miejsca tego droga prowadzi po większej części przez gąbczaste mchy. Ponieważ Izaak nie znał dobrze tej strony, musiałem wziąć do pomocy syna wieśniaka z Haukaadal. Nowy mój przewodnik nie zdradzał wcale ochoty do wolnej jazdy, pędziliśmy więc po miękkiej i mokrej ziemi, jakby to była ujeżdżalnia. Po drodze przejeżdżaliśmy w bród rozmaite rzeki; największą z nich była Tungfljot, dzielająca się w tem miejscu na trzy ramiona.

Powietrze było, jak to już wyżej powiedziałem, nieco czystsze, poraz pierwszy miałem więc przynajmniej przedsmak tego, co się nazywa pięknym widokiem. Na dalekim horyzoncie rysowały się piękne kontury gór: olbrzymi, śniegiem pokryty Blaafell, śmiało w górę strzelający Jarlhettur i długie pasmo śnieżnych gór Laugjökell.

Po upływie godziny byliśmy u celu. Na punkcie wodospadów jestem nieco wymagającym, nie spodziewałem się też wcale, by Guldfluss zrobił na mnie zbyt silne wrażenie. Muszę jednak przyznać, że to co widziałem, rozczarowało mnie przyjemnie; byłem zdumiony i formalnie zachwycony, gdy ujrzał przed sobą wspaniałą wodospad.

Hvitaa (rzeka biała), wypływająca z tuż u stóp góry Laugjökell położonego i płynącej lodowcami pokrytego Hvitaaavatu, ma w tem miejscu, gdzie się tworzy wodospad, znaczną szerokość. Olbrzymie masy wód pędzą całą szerokością łożyska, a napotkawszy w biegu swym na dwa odłamy skał, spadają w trzech olbrzymich kaskadach; przepływający małą równiną, łączą się w jedno koryto i staczają się z szumem w dwóch kaskadach w bezdenną przepaść. Tumany pary zapełniają powietrze. Olbrzymia przepaść, na której dnie wije się w dalszym ciągu Hvitaa dodaje widowisku temu bardzo wiele uroku. Przepaść ta ograniczona jest z dwóch stron olbrzymimi ścianami bazaltowymi.

Jeżeli za lat sto turyści odwiedzać jeszcze będą te okolice, to wabić ich tam będzie niezawodnie małe dziś znany Guldfluss.

Resztę dnia przepędziłem u źródeł, wieczorem byłem znowu w Haukaadal.

Uraczyłem gospodarzy moich grągiem, który z braku szklanek pić musieliśmy filiżankami.

Nadeszła wreszcie upragniona ostatnia noc mego tu pobytu; postanowiłem odjechać; złożywszy przedtem raz jeszcze wizytę Stokkrowi, i postanowienie to wykonałbym, choćby mi nawet zaręczono, że Geizir dnia następnego 10 razy wybuchać będzie.



Pożegnanie Izaaka z wieśniakiem było bardzo długie i na pozór serdeczne. Ruszyliśmy potem w towarzystwie syna wieśniaka, który wioził ze sobą nosze. Za kwadrans stanęliśmy u źródła.

Tu zaczęli obaj wykopywać olbrzymie masy ziemi i przenosić ją na noszach do źródła; Strokkur otrzymał teraz taką porcję, jakiej od czasów owego Anglika z pewnością nie widział.

Za chwilę stał nad otworem wał ziemi 2½ m. długości, a ¾ m. wysoki i szeroki.

I cały ten ładunek znikł w paszczy staruszka; byłoby to coś niesłychanego, gdyby to nie miało wywołać skutku.

Czekaliśmy kwadrans — nic, Strokkur zdawał się smacznie śniadanie, którem go uraczyliśmy, zupełnie ignorować. Czekaliśmy pół godziny — i jeszcze się nie mógł zdecydować. Czekaliśmy trzy kwadransy — ciągle jeszcze to samo!

Wreszcie przyszedł jednak Strokkur do przekonania, że przecie lepiej będzie, jeżeli wypełni swoją powinność. Woda w otworze zaczęła się nagle podnosić — i trysnęła z niego z szumem olbrzymi słup czarnej z ziemią zmieszanej wody do wysokości wieży kościelnej. Powtarzało się to raz po raz, strumienie czarnej wody wzbijały się jak rakiety do wysokości 30 m., niektóre nawet wyżej. Całe widowisko trwało pięć minut. A czy było ono piękne? Nie, raczej groźne, nie tyle wspaniałe ile komiczne. Piękną w całym tego słowa znaczeniu była tylko poprzedzająca to widowisko chwila, w której się wywiązywały olbrzymie obłoki pary. Po upływie pięciu minut, woda tryskała tylko do wysokości 3 m. a potem i to ustało i Strokkur zadawał się w ciągu godziny wypluwaniem czarnej wody do wysokości otworu; wywiązująca się przytem para nie pozwoliła mi zaglądnąć w głąb otworu.

Tak tedy okazałem tego, zowem jednego z bohaterów okolicy skłonił do zaprodukcowania się ze swoją sztuką. Czy jednak warto było narażać się dlatego na tyle niewygód i przykrości, to rzecz wątpliwa, w każdym razie miałem tę satysfakcję, że widziałem to, co widzieć chciałem.

M. I.

## Kronika działalności kobiecej.

— W Brukselli odbędzie się we Wrześniu 1897 roku międzynarodowy kongres zwołany przez belgijskie stowarzyszenie p. n. Prawo kobiety. Obrady odbywać się będą podług następującego programu: 1-go dnia: Prawo obywatelskie kobiety w rodzinie, w państwie, w gminie; 2-go dnia: prawo ekonom. kobiety: wolność pracy, równość wynagrodzenia dla mężczyzny i kobiety. Prawo kobiety, decydujące co do zarobkowania. Prawo wyboru i udział w zebraniach gminnych; 3-go dnia: dopuszczenie kobiety do pielęgnowania biednych i w ogóle do dobroczynności publicznej; 4-go dnia sprawa opieki dla młodych dziewcząt.

— Magdalena Gesnouin d'Arsanville sekretarka Stowarzyszenia poprawy losu kobiety, zapisała temu stowarzyszeniu 2,000 marek. Pozostały majątek przekazała gminie Clichy i Levallois-Perret, jako zapis dla mającego powstać przytułku dla obu płci. Całe życie swe poświęciła dobremu uczynkom.

— Matylda Salomon dyrektorka „Collège Sevigné,” została mianowaną członkiem Rady nadzorczej szkół.

— Anna Cronhjelm Wallberg autorka szwedzka, przełożyła perły literatury skandynawskiej i rozpoznała te przekłady w Ameryce. Pochodzi ze

starej szlacheckiej rodziny, otrzymała jako młoda panna kompletne naukowe kształcenie; do najlepszych jej utworów należy praca literacka p. t. Epizod romantyczny z życia Swedenborga. Bierze ustawicznie udział w kwestyi pracy kobiet. Miała znakomity odczyt w Szwecyi o kobiecie amerykańskiej.

— Na kongresie międzynarodowym w Berlinie będzie także „Womens Trades Union League“ w Anglii reprezentowaną przez Florencję Routledge. Wypowie ona szczegóły dotyczące zasad na jakich się stowarzyszenie opiera i jakie rezultaty już się osiągnąć dały.

— Stowarzyszenie kobiet duńskich wybrało na swe reprezentantki na odbyć się mającym kongresie Doktorę Elie-Miller i Falbe-Hansen, kand. mag.

— W Londynie pracuje w kupiectwie 360,000 kobiet; — z tej liczby 60,000 w kantorach handlowych.

— W Meksyku osiedliła się panna Marya Sandogal jako pierwsza adwokatka; — w San Francisco otrzymała nagrody za wykonanie planu budowy zakładu leczniczego dwie młode panny Alisa Hands i M. Gamson, które ukończyły z odznaczeniem akademię sztuk pięknych.

— W Genewie odbędzie się 8—12 Września r. b. kongres dotyczący spraw kobiet, podczas tam urządzona wystawa krajowej. Utworzył się międzynarodowy komitet, który wzywa wszystkie inne zajmujące się sprawą kobiecą w ogólności lub też odnoszącymi się do tej sprawy szczegółowymi kwestyami, ażeby pośpieszyły z nadesłaniem piśmiennych sprawozdań lub też przysłały delegatów. Sekretariat Union des femmes mieści się przy ulicy Céard 11. 1-go dnia obrady obejmą ogólną użyteczność działalności kobiecej; 2-go dnia wychowanie i wykształcenie a 3-go kwestyę zarobku kobiety we wszystkich zawodach; zabezpieczenie w razie braku zajęcia, wypadków nieprzewidzianych lub choroby; — udział kobiety w sprawach publicznych i stanowisko jej w obec prawa.

— W Medyolanie zmarła niedawno Antonina Untersteiner której talent kompozytorski zapowiadał się znakomicie. Urodzona w Konstantynopolu należała do biegłych pianistek, całą usilnością oddała się studjom kompozycyj; — konserwatorium w Medyolanie wykonało z wielkim powodzeniem scenę dramatyczną „Sul Baltico“ a w Turynie wykonano jej poemat symfoniczny „Dio e Satana.“ Śmierć nie pozwoliła jej wykończyć rozpoczętej opery, która wedle zdania znawców odznacza się świeżością i melodyjnością kompozycji.

## Z bieżącej chwili.

— Dnia 5 b. m. robiono pomiędzy Moskwą i Petersburgem próby telefoniczne na drutach kolejowych. Rozmowę, śpiew i muzykę słyhać było wyraźnie. Jednocześnie po równoległych drutach przesyłano depesze.

— W Towarzystwie sztuk pięknych otwarto wystawę pośmiertną dzieł pozostałych po ś. p. Aleksandrze Świeszewskim, malarzu niedawno zmarłym w Monachium. Wystawa składa się z 53 trzech płócien niemal wyłącznie z zakresu malarstwa krajobrazowego okolic tatrzańskich, oraz 2 portretów: D-ra Chałubińskiego i Sabały.

— Konkurs ogłoszony przez Salon artystyczny na Nowym-Swiecie na najlepiej malowany krajobraz stawia następujące warunki: figury i zwierzę-

ta mogą być pomieszczone, lecz jako przedmiot dodatkowy; wielkość obrazu nie większa jak metr w jednym wymiarze; sposób malowania dowolny: olejny akwarella lub gwasz. Dzieła nadesłane na konkurs (Nowy-Swiat Nr. 27) muszą być najdalej w d. 10 Października r. b. gdyż wystawa konkursowa otwartą będzie do dnia 15 Października. Kwalfikacją dzieł zajmie się delegacja Salonu, która przyjmować będzie tylko prace odznaczające się odpowiednimi zaletami. Nagrody będą dwie każda po 100 rs.

— Po raz pierwszy od wieków Watykan przyjął do wiadomości, zaślubiny w królewskim domu angielskim. Ojciec Ś. Leon XIII przysłał księżniczkę Maud jako podarek ślubny, cenną bransoletę w stylu starożytnym z piękną kameą. W liście Ojciec Ś. przesyła błogosławieństwo dla nowożeńców. Piśmo Ojca Ś. bardzo królowę wzruszyło.

— Ministerium zatwierdziło złożony przez zarząd kolei Dr. żel. Nadwiślańskiej projekt mostu przez rzekę Bystrzycę.

— W tych dniach ukończona będzie budowa kolei wązkotorowej między Wilanowem a Piasecznem. Po otwarciu ruchu na tej linii rozpocznie się budowa dalszego jej ciągu do Grójca.

— W tych dniach nastąpiło Najwyższe zezwolenie na nadanie obywatelstwa honorowego miastu Łucka hr. Feliksowi Czackiemu, w nagrodę zasług, położonych około założenia progimnazjum w Łucku.

— Termin otwarcia Wystawy rolniczej i drobno-przemysłu w Wilnie, naznaczono na dzień 22 Maja r. p. Wystawa potrwa przez dni 10. Prócz działu rolniczego projektowany jest dział gorzelnictwa. Osoby interesowane po bliższe szczegóły zgłaszać się mogą do sekretarza wystawy p. Pieślaka w Wilnie.

— Dnia 27 r. m. wskutek zawalenia się kopalni węgla Red-Ash w Piston Pa w Stanach Zjednoczonych, zginęło około 100 robotników, w tem około 40 Polaków i Słowaków.

— W Berlinie otworzyła kancelaryę „pod lipami“ Adwokatka D-r prawa Emilia Kempin, która najpierw zajmowała się adwokatką w Nowym-Yorku, następnie była przez czas dłuższy docentką prawa amerykańskiego i Angielskiego w uniwersytecie w Zurychu. Jest ona pierwszą adwokatką w państwie niemieckim.

— Znany okulista D-r Zygm. Kramsztyk otrzymał koncesyję na wydawanie w Warszawie miesięcznika p. t. Krytyka lekarska.

— Z inicjatywy zawiadowcy stacji p. Leśniewskiego zorganizował się komitet budowy kościoła w Kolaszkach. Dzięki wielkiej ofiarności budowa rozpocznie się niebawem. Plac został ofiarowany bezpłatnie, a budowniczy z Opoczna p. Wołkowski zrobił bezinteresownie plan.

— Z fundacji Franciszka Kochmana, przeznaczonej na nagrody dla dzieł ogłoszonych w języku polskim komisyja konkursowa przyznała nagrodę 1,000 zł. r. Samuelowi Adalbergowi za dzieło p. t. Księga przysłów, przypowieści i wyrażen przysłowio- wych polskich.

— W księstwie Walii w miejscowości Aberystwyth, założono nowy uniwersytet, którego kancle- rzem jest książę Walii, księżna zaś otrzymała stopień „doktora muzyki.“ Obecnie odbyła się tamże uroczystość otwarcia halli przeznaczonej na mieszkanie dla studentek, kobiety bowiem, równie jak mężczyźni będą tu mogły odbywać studia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 19-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

**TREŚĆ:** W sośninie, przez Adama Mielezskę. — Promyk szczęścia. Urywek z życia, skreślił Jan Kenaj (dalszy ciąg). — Rozwój mowy u dziecka. — Hygiena mowy. D-ra Oltuszewskiego, przez W. N-iego. — Kazimierz Gliński. Plon niesiem. Komedya w 2 aktach. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej O zaziębieniu, przez Stanisława Kamińskiego. — Wycieczka na Islandyę (Szkic z podróży) (dokończenie). **Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.**

**Dodatek obejmuje:** **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 19-ty. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.**